

# Wybrzeże Słowińskie

## Migawka

Wybrałem miejsce odludne z całkowitą premedytacją. Dzisiaj tak trudno o miejsca prawdziwie odludne, dlatego prawie nikt z nas nie wie, co to znaczy rzeczywiste odosobnienie. A chyba tylko w takich warunkach jesteśmy w stanie przedrzeć się przez nasze nawykowe identyfikacje związane z rolami społecznymi. Co się dzieje, gdy przestajemy być synami, mężami, pracownikami, klientami czy ekologami? Tego właśnie chciałem doświadczyć na własnej skórze. Doświadczyć szczególnej „śmierci” siebie. Dlatego załadowałem zapasy jedzenia i kilkanaście litrów wody i wypuściłem się wzdłuż plaży wiele kilometrów od chorobliwie głośniejszej Łeby, w samo serce Słowińskiego Parku Narodowego. Rozwiesiłem swoją płachtę między karłowatymi sosnami na wydmach i... otworzyłem migawkę. Pozostawała ona otwarta przez kilka dni, naświetlając się stopniowo i powoli obrazami i emocjami. Zwykle migawka zostaje spuszczone na krótki moment, zatrzymując jakieś krótkie „teraz” na całą wieczność. Tutaj to „teraz” trwało znacznie dłużej, a właściwie wychodziło poza kategorię czasu w ogóle.



Fot. Ryszard Kulik

Nigdzie nie szedłem, nie miałem żadnego celu, nie miałem nic do zrobienia. Nic oprócz trwania na miejscu: słuchania, patrzenia, wachania, odczuwania wiatru. Bycie w swej najczystszej i podstawowej postaci. Kim jestem? Czyż nie właśnie tym, który czuje deszcz na swojej skórze, który wacha sosnową woń, który słyszy szumiące morze. Jakież to proste i organiczne: być tym, co jest właśnie teraz, całkowicie i w pełni.

O świcie siadam nad brzegiem morza. Mój oddech zgrywa się z przewalającymi się falami. Jest tak pusto i spokojnie. Moje myśli również falują: pojawiają się w umyśle, rosną, stają się w pełni obecne, aż w końcu u brzegu mojej świadomości załamują się i następnie odchodzą. Nie próbuję z nimi nic robić, ani ich nie przywołuję, ani nie walczę z nimi. W końcu każda z nich jest jak ta fala: pojawia się, jest i znika. Pozwalam na to. Aż w końcu to falowanie uspokaja się. Kolejne fale są coraz mniejsze, robią coraz mniej hałasu i wtedy dostrzegam, że każda z tych fal jest wodą. Nie ma nic oprócz wszechobecnej wody, która jest naturą każdej z oddzielnych fal.

Włóczę się tu i ówdzie, co oznacza, że pozwalam nogom, by mnie nosiły tam, gdzie chcą. Czasami dochodzą mnie jakieś głosy. To jakieś zbłąkane ludzkie istoty zapuszczają się w te odludne miejsca. Nie jest ich wiele, ale tak czy owak skrupulatnie ukrywam swoją obecność. Trochę czuję się jak zwierzę, które unika człowieka, boi się i stroni od niego. I gdy tak się przemykam wśród wydm i podmokłych olsów stopniowo zasypywanych przez piasek, nagle dostrzegam jakiś niewielki ruch w wysokiej trawie. Okazuje się, że to młodziutki, pasiasty dzik wyleguje się na słońcu. Nieopodal jest i drugi, chyba jego brat lub siostra. W końcu zauważają moją obecność, ale nic sobie z tego nie robią. Tak, chyba jestem już jednym z nich. Siadam więc na trawie obok i trwamy tak we trójkę jakiś czas rozkoszując się ciepłym słońcem.

Wszędzie wokół rosną ogromne góry piasku. Jak okiem sięgnąć nie widać żadnych budynków, dróg, samochodów i ludzi. Doskonała pustka daje przestrzeń, w której może zaistnieć życie w swej czystej, nieskazitelnej postaci. Powierzchnia wydm jest wolna od jakichkolwiek śladów człowieka. I tylko moje stopy pozostawiają dowód, że jakaś zbłąkana istota naruszyła ten odwieczny porządek. Gdy zjawiam się tam niedługo potem, powierzchnia piasku jest ponownie nieskazitelnie gładka z

delikatnymi zmarszczkami na swojej powierzchni.

Niech tak będzie.

Ryszard Kulik